

Luciana Frassati

Przełożyła Barbara Sieroszevska

Wstęp: abp Grzegorz Ryś



PIER GIORGIO FRASSATI

CZŁOWIEK OŚMIU BŁOGOSŁAWIENSTW

Wydawnictwo WAM

Tytuł oryginału
Pier Giorgio Frassati. I giorni della sua vita

Informacje o Pier Giorgiu Frassatim prosimy kierować na adres:
Associazione Pier Giorgio Frassati, Via Anicia 12, 00153 Roma
e-mail: info@piergiorgiofrassati.org

© Wydawnictwo WAM, 2020

wydanie trzecie na podstawie:
Pier Giorgio Frassati. Człowiek ośmiu Błogosławieństw
Wydawnictwo WAM, Kraków 2018

Opieka redakcyjna: Dorota Trzcinka
Redakcja: Barbara Cabała
Korekta: Monika Kafel, Julia Planeta
Projekt okładki: Łukasz Szczepaniak
Przygotowanie do druku: EDYCJA
Fot. na okładce: *Powrót z Monviso*, 1923
Fot. © Wanda Gawrońska

ISBN 978-83-277-2532-5

NIHIL OBSTAT
Prowincja Polski Południowej Towarzystwa Jezusowego,
ks. Wojciech Ziółek SJ, prowincjał
Kraków, 8 marca 2011 r., l.dz. 73/2011

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
tel. 12 62 93 260
www.wydawnictwowam.pl

Druk i oprawa: GRAFARTI • Łódź

Publikację wydrukowano na papierze iBOOK Extra 65 g wol. 2.0
dostarczonym przez IGEPa Polska Sp. z o.o.

*Moim dwanaściorgu wnukom
Gawrońskim, O'Meara, Salviati i Gilardini,
aby wskazać im świetlaną drogę*

I

Korzenie

Może się wydawać przesadne czy wręcz ryzykowne twierdzenie, że na dziejach rodziny nieprzeciętnej, jak rodzina Frassatich, przez długie lata ciążył dom.

A jednak to prawda. Na nasze życie duży wpływ wywarła willa zbudowana u podnóża Mucrone, pierwszej góry z całego pasma, które biegnąc od okręgu Biella, gubi się w Dolinie Aosty. Z wysokich okien i rozległych tarasów wzrok obejmuje ogromną przestrzeń, ciągnącą się na południu od Monviso wzdłuż gór Giovi, aż po odgadywaną raczej niż widzianą drogę do Mediolanu.

Dom zbudował w Pollone w 1875 r. nasz dziadek ze strony matki, Francesco Ametis, za oszczędności z lat przepracowanych w Peru, i otoczył go obszernym uroczystym ogrodem, tak monotonnym, że aż zaskakujące wydawały się w nim te nieliczne drzewka, które sadił co roku nasz ojciec, Alfredo Frassati.

Ojciec był rodem z Pollone, choć lato spędzał zwykle w pobliskiej miejscowości Cossila; ze skromnego domu matki wędrował do domu swoich starych ciotek, po drodze często wstępował do kuzynów Ametis, żeby

poszukać wzrokiem twarzy Adelaidy, i czasem zatrzymywał się trochę dłużej w ogromnej sieni, nigdy jednak nie przeniknął utajonego ducha tych murów i wyrazu twarzy osób, które tam spotykał. Jego wyobraźnia koncentrowała się wyłącznie na jednej z nich. I oto 8 września 1898 r. Alfredo wszedł do willi Ametis jako nowo zaślubiony mąż Adelaidy.

Później przez całe życie starał się wpoić przyjacielom miłość do tej pięknej siedziby, do długich spacerów w góry, narzucając im własny entuzjazm do ostrych podejść i zejść, zachwyty nad krajobrazem dodającym uroku temu domowi, który stanowił jedyne dobro materialne nabyte przez małżeństwo. Ojciec czuł się tu jednak zawsze raczej gościem niż gospodarzem, chociaż trwały dobrobyt rodziny był jego prawie wyłączną zasługą.

Jego ojciec, Pietro Frassati z Occhieppo, pracował jako lekarz w Cossili, zmarł w 1899 r. Na fotografiach pogodnie wygląda twarz ozdobiona niedużą bródką zgodnie z ówczesną modą, z głębokim spojrzeniem czarnych oczu spod wysokiego czoła. Jego miłość do żony, Giuseppiny Coda-Canati, nie znała może wielkich uniesień, ale ich współżycie wzbogacała zgodna współpraca przy wychowaniu dzieci i wspólna troska o ich losy. Świadczy o tym pełna ufności ofiara złożona przez matkę, która całe swoje dziedzictwo oddała do dyspozycji Alfredowi, aby mógł, zakupując w całości „Gazzetta Piemontese”, stworzyć własne pismo „La Stampa”.

Babcia Giuseppina witała radośnie każde nasze odwiedziny, moje i Pier Giorgia, jakby nasze hałaśliwe

przybycie przywracało ją do rzeczywistości, wyrывая z zadumy. Ponieważ interesowało ją wszystko, co się dzieje w rodzinie, kobiety z domu Ametis zarzucały jej, że „się wtrąca”, jak gdyby Alfredo nie był jej synem, a my jej wnukami, i kazały mojemu bratu i mnie odpowiadać na wszystkie pytania babci: „Nie wiem”. My, w przekonaniu, że w ten sposób bronimy „sprawy domu Ametis”, nigdy nie łamaliśmy tego absurdalnego zakazu, tak że babcia, właśnie wtedy, kiedy miałaby ochotę pogawędzić, musiała milknąć.

Nie ciągnęła z pozycji Alfreda żadnych korzyści; tylko w ostatnich latach życia, kiedy miała jechać na wieś, używała czasem samochodu. Biedna babcia! Z pewnością chciała jak najlepiej dla swoich dzieci. Wierzyliśmy, że jest trochę pomyłona, i bawiło nas opowiadanie jej niestworzonych historii o niezwykłych wizytach, przebytych niebezpieczeństwach, fantastycznych przygodach, a ona, chcąc nam zrobić przyjemność, udawała, że wierzy. Jej synowie, Pietro i młodszy o sześć lat Alfredo, byli przy niej zawsze milczący. Prześliczna córka Emma zmarła tragicznie, mając lat dziewiętnaście.

Po tym nieszczęściu pierworodny syn wpadł nagle w stan mizantropii. Od czasu do czasu, kiedy się otwierał, przewyższał nawet głębokością swego umysłu brata, który koniecznie chciał go mieć przy sobie jako administratora „La Stampy”. Pietro zrezygnował z dotychczasowej pracy inżyniera-architekta i pracował w administracji dziennika aż do śmierci.

Kariera Alfreda Frassatiego była szybka i pomyślna. Prosty, wytrwały, apodyktyczny jak wielu spośród tak

zwanych liberałów piemonckich, przystojny, obdarzony wspaniałym zdrowiem, oszczędny, ale łakomy na niektóre proste ulubione potrawy, w pewnych okolicznościach słaby, zdecydowany w innych, w głębi duszy trochę romantyk, podchodził do życia z energią, traktując je jak problem do rozwiązania, również w sensie ekonomicznym. Był to człowiek mocny, zdolny udźwignąć każdą odpowiedzialność i doprowadzić do końca to, do czego się zobowiązał. Chociaż podziwiał Giolittiego¹, bez wahania wypowiadał poglądy sprzeczne z polityką przyjaciela, który w 1913 r. wprowadził go do senatu jako pierwszego dziennikarza i najmłodszego senatora. W 1920 r. zaproponował mu ambasadę w Londynie albo w Berlinie: Alfredo wybrał tę drugą, bo właśnie w Niemczech ukończył wyższe studia i znał dobrze język.

Ale w 1926 r. przyszedł kres wytrwale prowadzonej od młodych lat pracy: bezwzględny rozkaz faszystowskiego rządu zmusił go do odsprzedania za śmieszłą cenę całego koncernu wydawniczego „La Stampa”.

Jednostajność jałowego, sztywnego świata pań Ametis przerywał jedynie śpiew dziadka Francesca; nigdy jednak nie zrozumiały zawartego w nim wezwania do harmonii w życiu.

Wysoki, chudy, o żywej, wyrazistej twarzy, dziadek walczył jako ochotnik w wojnie krymskiej; później, porzuciwszy skromną pracę aptekarza, przeprawił się przez Atlantyk szukać szczęścia w Ameryce. Był przedsiębior-

¹ Giovanni Giolitti (1842–1928) – wielki mąż stanu i przez długie lata premier Włoch.

czy i udało mu się wrócić do rodzinnego miasteczka ze znaczną gotówką, co pozwoliło mu wybudować „godną” willę, na której dachu widywało się go nieraz w murarskiej odzieży. Spędzał całe dni wśród chłopów, w ochronce i w szkołach Pollone, zajęty sprawami, jakie narzucały mu rozmaite obowiązki społeczne; jeżeli ktoś potrzebował pożyczki na budowę domu albo powiększenie gospodarstwa, zawsze dobry „Monssù Chicco” przychodził z pomocą; kiedy zabrakło wody, poszkodowani zwracali się również do niego.

Jego żona, Linda Copello, z dobrej rodziny, wychowana w tak pełnym życia i aktywnym mieście jak Genua, nie zdołała przywyknąć do życia w okręgu Pollone. Czternaście lat ciężkiego życia „w spodniach”, jakie spędziła z bratem Enrico – inżynierem w Fourneaux, gdzie górnicy z Fréjus nazywali ją „Le petit monsieur” – nie wystarczyło, żeby zaakceptowała wewnętrzne życie tak daleko od morza, w pobliżu gór, których nie lubiła; trwała tam w jakimś otepieniu, duchowym zastoju, oporna, nawet jeśli pieniędzy było dużo, wobec choćby najdrobniejszej zbędnej rozrywki. Wychodząc za męża, miała lat dwadzieścia osiem i choć nauczyła się posługiwać miejscowym dialektem, nadal czuła się Liguryjką.

Od czasu zamążpójścia córki Adelaidy babcia Linda, ilekroć chciała zganić jakiś *non plus ultra* nieporządek, zamykała swój sąd w dwóch słowach: „Dom Frasatich”; zgrozą przejmował ją widok dzieci turlających się po dywanach i nienoszących fartuszków.

Była religijna, a pobożność spotęgowała się w niej jeszcze po śmierci siostry Racheli, istoty wręcz anielskiej

dobroci; może w niej właśnie należy szukać korzeni dobroci Pier Giorgia. Co wieczór babcia modliła się długo za wszystkich swoich zmarłych, nie zapominając nawet o najdalszych; zmarli bardziej niż żyjący zapełniali jej wyobraźnię, była do nich bardziej przywiązana. Jakby po to, żeby się do nich jeszcze więcej przybliżyć, w 1914 r. utraciła pamięć spraw bieżących, co przynajmniej mnie przyniosło pewną korzyść; utrudniało jej to bowiem ciągle donoszenie mamie o moich wykroczeniach, a tym samym oszczędzało mi zwiększonej porcji klapsów.

Druga jej córka, Elena, wniosła pewną poprawę w gospodarkę naszego domu: była miła i spokojna, dokładna, skromna, szara jak okładki jej niezmiennych lektur, książek wydawnictwa Tauchnitza. Nasza edukacja uwarunkowana była jej nieustanną obecnością, zastępowała w tej dziedzinie naszą matkę, która niechętnie zajmowała się sprawami domowymi. Ubrana starannie, choć z wielką prostotą, ciotka Elena była jedyną w rodzinie kobietą, która używała odrobiny perfum i mleczka kosmetycznego. Rzecz zwykła u każdej kobiety, stanowiła jednak rażący wyłom w żelaznej regule domu Ametis: „Kobiety powinny pokazywać ludziom taką twarz, z jaką się urodziły”, co Adelaida interpretowała po swojemu, twierdząc, że „kobieta piękna to taka, co nawet jak ją złapią za włosy i zanurzą w wodzie, to będzie piękna i tak”.

Elena przyjęła bez sprzeciwu los, jaki jej przypadł – życie w cieniu swojej siostry. Jej najmiłą rozrywką było stawianie pasjansów albo odpoczynek z książką w ręku, w fotelu na biegunach. Nie zaprzętała jej też

wcale myśl o śmierci; nigdy żadnego życzenia, żadnej wzmianki w testamencie.

Adelaida, obdarzona żywszym umysłem, twarda w swoich nagłych reakcjach, miała twarz zdecydowaną, nos orli i szare oczy wyrażające silną wolę. Żywiła duże ambicje w dziedzinie malarstwa, znajdowała w nim pewną rekompensatę za rozczarowanie w małżeństwie. Spędzała całe popołudnia w pracowni malarza Alberta Falchettiego i choć nie zdobyła sławy, jej prace świadczą o nieprzeciętnych zdolnościach.

Wspominanie tych dawno minionych czasów jest bolesne, odczuwam je jako zmarnowane okazje do zaznania macierzyńskiej miłości. Z żalem myślę zarówno o okresach spędzonych w Pollone, jak i w naszym domu w Turynie, gdzie zimy upływały nam w niemożności ucieczki od widoku tych samych twarzy, w ograniczonej przestrzeni pokoi i monotonnych ulic. Zabronione nam były spokojne spacerunki po mieście, przystawanie przed kioskami i witrynami sklepów, zaspokajanie jakiejś najniewinniejszej ciekawości. Musieliśmy chodzić szybko, patrząc prosto przed siebie; wpoilo nam to pośpiech i gorliwość, ale były to cechy narzucone, wdrożone pod przymusem. W tamtych latach przedmiotem naszych marzeń była siedziba dziennika „La Stampa”; zaciszne schronienie, które jednak dzień po dniu, minuta po minucie okradało rodzinę z obecności ojca.

„La Stampa” wyobrażała, dla mnie przynajmniej, sławę naszego ojca, jego prywatne królestwo, niezależnie od domu w Pollone, który pozostał zawsze i wyłącznie domem rodziny Ametis.

II

„Czy Jezus był sierotą?”

Dzwony, które przed kilku godzinami rozdzwoniły się, oznajmiając Zmartwychwstanie, były też zapowiedzią nowego życia: w Wielką Sobotę, 6 kwietnia 1901 r., o godzinie 18.30 urodził się w Turynie Pier Giorgio. Imię Pietro, drogie naszemu ojcu przez pamięć jego ojca, nie podobało się mamie, ale zgodziła się na nie pod warunkiem, że połączone będzie z imieniem świętego wojownika, którego rzeczywiste istnienie nie było jeszcze wtedy podawane w wątpliwość. Rozczarowanie, że na świat przyszedł chłopiec zamiast upragnionej dziewczynki, która miała złagodzić żal po stracie Eldy zmarłej w 1900 r. w wieku ośmiu miesięcy, skłoniły mamę do traktowania Doda – jak malec sam siebie nazywał – jak dziewczynki; dziewczynki gwałtownej i stanowczej, która, kiedy siedemnaście miesięcy później urodziłam się ja, wskazała drzwi, mówiąc: „Wynieś ją tam”, co miało oznaczać, że nie ustąpi należnego jej miejsca. Z czasem starszy brat złagodził nieco swoją postawę, nie odstępował jednak mamy ani na krok, kiedy trzymała mnie na ręku.

Dodo wydawał się raczej powolny, jeżeli go coś nie dotyczyło, reagował natomiast gwałtownie, kiedy chodziło o kogoś słabego, kto potrzebował pomocy. Kiedyś do drzwi zapukała biedna kobieta z bosym dzieckiem na ręku. Dodo szybko ściągnął buciki i pończochy i dał je kobiecie, po czym, zanim ktokolwiek zdążył nadejść i sprzeciwić się, prędko zamknął drzwi. Innym razem w ochronce w Pollone dzieci siedziały przy południowym posiłku. Pier Giorgio, przyglądając się z podziwem długim kamiennym stołom z otworami do stawiania miseczek – nigdy jeszcze czegoś takiego nie widział – spostrzegł w głębi sali, z dala od wszystkich, samotne dziecko, odizolowane od innych z powodu wysypki. Podszedł do niego szybko i zanim siostra Celeste, zajęta rozmową z dziadkiem Francesco Ametis, spostrzegła, co się dzieje, zaczął jeść z nim razem: jedną łyżkę ty, drugą ja – i zaraz z twarzyczki chorego malca zniknął smutek.

Stawał w zachwycie zarówno przed kwiatami cieplarnianymi, jak i przed polnymi, które zrywał pełnymi garściami, żeby zanieść je prababci Antonii, cieszącej się tymi serdecznymi odruchami malca. Kwiaty nie tylko przynosiły radość, ale były też darem składanym Bogu. Kiedyś, spotkawszy w ogrodzie konwerskę, która przyszła z ochronki po kwiaty do kaplicy, Dodo podbiegł do niej, trzymając w ręczce piękną szkarłatną różę, i powiedział: „Siostró...”. „Nie jestem siostrą zakonną”, wyjaśniła konwerska, ale on, wcale nie zmieszany, powtórzył: „Siostró, proszę zanieść tę różę Jezusowi ode mnie”. Zaskoczona spojrzeniem tego dziecka, podzię-

kowała mu słowami, które dzisiaj wydają się prorocze: „Zobaczysz, Jezus kiedyś uczyni cię świętym”.

Bezgranicznie kochał swoją „mamusię, śliczną gwiazdkę promienną” i kiedy słyszał, jak ojciec chwali kobiecą urodę, natychmiast zwracał się do matki z gorącym protestem: „Ale nie taka śliczna jak ty!”. Jednak z wrodzonym poczuciem sprawiedliwości, które nigdy go nie opuszczało, nie dawał się skusić jej przesadnej pieśczołliwości. Kiedy prowokowała go, mówiąc: „Jesteś moja, moja córeczka”, Pier Giorgio bez wahania dodawał: „I tatusia także”.

Z konfliktów między naszymi rodzicami zaczęliśmy sobie zdawać sprawę dużo później, chociaż od dawna oczywista była przyczyna – decydująca rola kobiet z rodziny Ametis w naszym życiu, opartym na zakazach. Nikt nie troszczył się o to, żeby czymś wypełnić pustkę, jaką stwarzał dokoła nas ten ocean zakazów, zmuszając nas do życia w samotności, bez towarzystwa. Dlatego od wczesnego dzieciństwa bardzo ważna była dla każdego z nas dwojga obecność tego drugiego. Chcąc nas koniecznie zrównać i upodobnić pod każdym względem, wychowywano mnie prawie jak chłopca, ryzykując w ten sposób wypaczenie naszych osobowości. Uczono nas odporności, wpajano dyscyplinę i posłuszeństwo, akceptację wszelkich narzucanych nam ofiar. Jakikolwiek dialog z dorosłymi był zabroniony, po prostu nie istniał. To, że miano nas za nic, albo gorzej, za istoty zakłócające spokój, pozbawiło nas wszelkich przejawów dumy; za to umieliśmy stawić czoło trudnościom i odważnie znosić ból. Jedynie ojciec, nie wnikając zresztą

przy tym w nasze wewnętrzne życie, brał czasem udział w naszych zabawach i chwile z nim spędzone dawały mi złudzenie, że jednak coś dla niego znaczę.

Nie wolno nam było jeść pomiędzy ustalonymi posiłkami, nie istniały dla nas żadne bary, żadne napoje, a kiedy okropnie zmęczona niekończącymi się wędrówkami po górach, z których z reguły wracałam z gorączką, skarżyłam się, że bardzo chce mi się pić, mama krzepiła mnie radą: „Zwilż sobie usta śliną”. Radość, z jaką tatuś mówił o górze makaronu oczekującej nas po powrocie z „La Stampy”, była dla nas jedyną przyjemnością, zwłaszcza kiedy po drodze przystawaliśmy gdzieś przed witryną albo nawet przy marmurowej ladzie sklepu spożywczego.

Agnostycyzm ojca znacznie mniej przyniósł mi szkody niż „religijność” rodziny Ametis. Od niego nie słyszeliśmy nigdy ani słowa przeciw Kościołowi, podczas gdy superkrytyczny charakter mamy nie oszczędzał nawet niektórych księży, stwarzając pozory atmosfery antyklerykalnej. Mama i jej siostra, które za nic w świecie nie opuściłyby mszy w niedziele czy święta, nie wchodziły do kościoła ot tak, na krótki pacierz, nigdy się nie widziało, żeby któraś z nich uklękła do modlitwy. Czuliśmy się zmuszeni do fanatycznego, a pozbawionego treści przestrzegania określonych reguł: w kościele nie kręcić się, „pobożnie” uczestniczyć w nabożeństwach, nie opuszczać mszy w dni przez Kościół nakazane. Religia złożona z gotowych, utartych zdań, powtarzanych przez całe życie, łatwo mogłaby z nas zrobić obłudni-

ków, a co najmniej ludzi powierzchownie „praktykujących”. Ale obok Pier Giorgia „formalnego”, którego pilnej uwagi w czasie mszy nie mógł rozproszyć nawet grzmiący z ambony głos księdza, zaczął się wcześniej objawiać inny Pier Giorgio, pochłonięty swoją wiarą i swoim miłosierdziem, którego przedwczesna intuicja utrzymywała na pograniczu poezji i religii. „Czy Jezus był sierotą?” zapytał kiedyś mamę, wpadając w nocnej koszuli do salonu pełnego gości, a zaraz potem, kiedy go zapewniła, że Jezus miał dwóch ojców, wrócił spokojnie do łóżka.

Jedyną osobą naprawdę religijną, choć także na swój sposób, była babcia Linda Ametis. Kiedy na niebie zaczynały ukazywać się gwiazdy, pogrążała się w modłach za swoich zmarłych, wymieniając ich wszystkich po kolei, jak w jakiejś odwiecznej bajce. Nie wzmagało to w nas poczucia bezpieczeństwa, ale przynajmniej nadało życiu wiecznemu jakiś przyjazny nastrój. Troszczyliśmy się o zmarłych. Pier Giorgio, zbudzony kiedyś w nocy odgłosami burzy, zapytał mamę: „Czy deszcz pada na zmarłych na cmentarzu?”

Na zawsze zachował troskę o zmarłych: podróżując po Niemczech, kiedy miał lat dwadzieścia, pamiętał o zamówieniu mszy w rocznicę śmierci naszej ciotki, zmarłej jeszcze przed jego urodzeniem, za jej duszę i za duszę prababci Antonii.

III

Pierwsze „tragedie”

Wraz z nauką pisania przyszedł czas pierwszych listów i nowa troska dla Doda, która prześladowała go przez całe życie: obowiązek przelewania na papier myśli, których wcale nie czuł. Dwa listy z tego okresu świadczą, jak swobodnie umiał się wypowiadać, kiedy serce mu to dyktowało.

14 sierpnia 1907 r.

Kochany Tatusieńku,

W dzień Twoich imienin piszę do Ciebie, życząc Ci mnóstwo zdrowia. Pomodłę się za Ciebie do Jezusa i obiecuję Ci, że będę grzeczny i będę uczyć się z wdzięczności za Twoją pracę i ofiary, jakie dla mnie ponosisz.

Najlepsze życzenia miłego dnia,
Twój Pier Giorgio

19 grudnia 1907 r.

Kochana Mamusiu,

Kocham Cię bardzo i cieszę się, że umiem napisać list z najlepszymi życzeniami na dzień Twojego święta.

Przyjmij ten koszyczek zrobiony przez Lucianę i przeze mnie.

Mimo jego wysiłków słowa „nie umiesz pisać” były wciąż powracającym dotkliwym refrenem i źródłem nieustających upokorzeń. Nikt nie rozumiał, że nie chodzi tu o brak zdolności; jego wymęczone listy miały się stopniowo przekształcać w nieprzeciętną głębię myśli.

Na egzaminie obcieliśmy się oboje. Oto jak tatuś skomentował to „nieszczęście” w liście do mamy i cioci, które wyjechały z nami nad morze:

Poniedziałek (1909 r.)

Kochane,

Dopiero dzisiaj w południe dostałem wiadomość o niepowodzeniu na egzaminie i ogromnie się tym martwię. Na przyszłość trzeba będzie stanowczo temu przeciwdziałać, bo jeżeli tak od dziecka przywykną do lenistwa, nie wiem, czego będziemy mogli się po nich spodziewać, kiedy będą starsi. Luciana – trudno, jest przecież kobietą i nie będzie musiała zarabiać na utrzymanie, ale Dodo! Naprawdę szalenie to przykre. Napiszcie mi o was, o Dodo i Lucianie. Dajcie im do zrozumienia, że tatuś opóźnia swój przyjazd do Alassio, bo tak bardzo jest zmartwiony ich niepowodzeniem.

Nowy ciężar wali się na małego Pier Giorgia: „Luciana, trudno...”, ale nie on! Tatuś widział w nim już przyszelego naczelnego dyrektora „La Stampy”: takich uchybień niepodobna mu było wybaczać.

O nadmiernej odpowiedzialności, jaką nadal obciążano mego brata, świadczy choćby ten pełen goryczy komentarz dołączony przez mamę do któregoś już z rzędu listu z życzeniami od Pier Giorgia do ciotki:

Alassio – sierpień (1915 r.)

Droga Eleno,

Wierz mi, że napisanie tych paru słów nie przyszło mi łatwo. Nie z braku chęci: wstał wcześniej i już kwadrans po siódmej siedział nad listem do ciebie, z własnej woli. Męczył się i nie umiał napisać ani jednej linijki. Czy uwierzysz? Piszę do Ciebie i płaczę... To już za dużo na moje siły, czasem wydaje mi się po prostu niedorozwinięty. I jego dobroć nie jest już taka, jak była... Giorgio nigdy się nie dowie, ile bezsennych nocy spędziłam z jego powodu. Teraz nawet na mnie nigdy nie spojrzy: ma swoich przyjaciół, kąpie się w morzu, wciąż chodzi do salezjanów, a mnie zaledwie mówi dzień dobry.

Kiedy wypływam daleko, nigdy mi nie towarzyszy. Mój Boże! Modłę się, żebym umarła, zanim ten mój syn źle skończy! Piękny list piszę Ci na twoje święto, ale tak ciężko mi na sercu! Pier Giorgio nawet nie zauważa różnych drobnych uchybień, które mnie ranią. Wszystko inne ma dla niego większe znaczenie. Dla mnie zostaje tak mało! Luciana też ma swoje drobne wady, jednak jest zupełnie inna.

Biedny Pier Giorgio! Nikt nie potrafił dostrzec w jego dzieciństwie rzeczy najważniejszej – dojrzałości duchowej przewyższającej dojrzałość nauczycieli i domowników.

Pier Giorgio podrastał, był chłopcem niezwyklej urody, poważnym, sprawiedliwym; nie zwracał uwagi na to, że ludzie na ulicy przystawali i patrzyli na niego, podziwiając jego wielkie czarne oczy o niebieskawych białkach, jego twarz będącą świadectwem zdrowia. Byliśmy szczęśliwi i dumni, że możemy znosić spoceni – zgodnie

z kodeksem sanitarnym mamy – lodową kąpiel w Evançon, w kotlinie Fiery, na wysokości 1900 metrów.

Zażyłość z wodą wyrobiono w nas nad morzem, przy wtórze głośnych klapsów, które trafiały się i naszej szesnastoletniej guwernantce zwanej Dadà. Ale opór Pier Giorgia pokonało dopiero wyrzucenie go siłą z łódki. Patrzyłam na to bezradna i przerażona. A jednak pobyt w Grand Hotelu w Alassio stanowił radosną pauzę przed posępnym dla mnie powrotem do Pollone, gdyż ziemia, kwiaty, babcia i góry były atrakcją tylko dla mego brata.

Byliśmy niewątpliwie bardzo różni. Usiłował mnie wychowywać nawet za pomocą rękoczynów, zwłaszcza kiedy przyłapał mnie na czymś niezgodnym z jego poczuciem sprawiedliwości. Kiedyś ojciec zaskoczył nas w zacieklej walce, której nie przerwaliśmy mimo jego pełnych wyrzutu słów: „Na tym jednym bardzo mi zależy: żebyście się kochali!”. Dopiero siłą zdołał nas rozdzielić. Nastąpiło coś w rodzaju sądu doraźnego, którego wyrokiem „mężczyzna” został potępiony, przy czym ojciec oświadczył surowym tonem, że takiego syna kochać niepodobna. Mój brat zarówno słowa, jak ton potraktował bardzo serio i postanowił zniknąć. Na próżno szukał go po mieście cały personel „La Stampy”, począwszy od gońca Pilone na rowerze, a skończywszy na reporterach, którzy z pomocą policji starali się wykryć jego miejsce pobytu. Kto wie, czy w uszach mamy nie zabrzmiały żałobnie słowa, którymi kiedyś mały Dodo zareagował na jakąś wymówkę ojca: „Zażyję tlu-ciznę i umłę”. Na szczęście okazało się, że ukrył się tylko

za jakimś meblem i kiedy zaczęłam się głośno modlić z całą żarliwością kogoś, kto czuje się winny tragedii, moja modlitwa sprawiła cud: wywabiła go z kryjówki.

Rzecz jasna, że kondycja fizyczna i męska osobowość, choć dopiero w załączku, musiały się przejawiać w gwałtownych reakcjach, które dopiero z czasem Pier Giorgio zdołał opanować siłą woli, tak że dawały się dostrzec już tylko w charakterystycznym zaciśnięciu ust.

Miłość do gór była także oznaką silnej woli: woli duchowego wznoszenia się ku górze, osiągnięcia pełnej władzy nad sobą; nigdy Pier Giorgio nie uskarżał się na głód, pragnienie czy zmęczenie. Wyczuwało się w nim młodocianego alpinistę, który w twardej matczynej szkole nauczył się przeciwstawiać wszystkiemu, co mogłoby się wydać słabością czy poddaniem. Mama bowiem bez wahania zabrała z sobą ośmioletniego malca na wycieczkę z Fiery na Giomein, na S. Teodulo i do Schwarzwsee nad Zermatt. Dla trasy tej przewidziane jest w przewodniku po Alpach dziewięć godzin marszu, wysokość Teodulo to 3324 m. Oto zapiski mamy z tej wycieczki:

Zaledwie zaczęło świtać, wyruszyliśmy w stronę Białych Szczytów. Jak zawsze o tej porze wszystko było mgliste, nieruchome, pozbawione cieni. W zagrodzie po prawej stronie dolinki zobaczyliśmy śpiące stado owiec, zwiniętych w kłębek jak psy, z pyszczkami wsuniętymi pod nogi, przytulonych ciasno jedna do drugiej dla ochrony przed ostrym chłodem nocy.

Mały odezwał się przyciszonym głosem: „Popatrz, to owieczki, co jeszcze się nie urodziły!”. Kto wie, może wydało mu się tam w górach, w tej niezwykłej scenerii i o tej porze,

że widzi przed sobą zaczarowaną łąkę, gdzie pasą się gęsi, a matki znajdują sobie malutkie dzieci... chociaż ja nigdy nie opowiadałam dzieciom takich bajek.

Wejście na Teodulo z Pier Giorgiem ubezpieczonym liną odbyło się spokojnie – malec często odczuwał głód i w tym także zgodny był ze swoją mamą. Robiliśmy postój – zimny kotlet, następny postój – dwa surowe jajka, i tak dalej.

Przy Schwarzsee zatrzymaliśmy się na dwa dni. W jadalni wszyscy interesowali się ślicznym małym alpinistą; jakaś pani poczęstowała go słodkim białym winem – pamiętam zwrócony ku mnie zdumiony, przerażony wzrok Pier Giorgia... podziękowałam zbyt gorliwej pani i odmówiłam poczęstunku... Dodo wprost nie mógł pojąć, żeby dziecko mogło pić wino...

Pier Giorgio odbywał takie wycieczki bez uprzedniego przygotowania; do tej pory co najwyżej stryj Pietro prowadził go z sobą na wzgórze w okolicach Turynu, ale chociaż był do bratanka bardzo przywiązany, nie umiał dostosować się do małego towarzysza wędrówek, o czym świadczy niezwykła u Pier Giorgia reakcja: „Mamo, skarżył się, stryj wciąż tylko chce iść i iść i nawet nie da mi zerwać po drodze kwiatka. Zatrzymaliśmy się na odpoczynek przy drodze do Moncalieri na murku wśród domów; nic tam nie było, tylko kurz!”

Wreszcie kiedyś Pier Giorgio, choć na ogół zdrowy, wrócił do domu z gorączką. Od tej pory mama zabroniła mu forsownych marszów.

W 1909 r. zmarł nagle dziadek Ametis, stwarzając pierwszą pustkę w naszym życiu. Nie mogliśmy się pogodzić z tym, że nie zobaczymy już więcej jego wysokiej

postaci, nie usłyszymy, jak sobie nuci w ogrodzie ani jak mówi o nas w dialekcie „I miei desbela”, moi niszczyciele. W czasie niekończących się spraw finansowych, jakie zazwyczaj towarzyszą czyjejs śmierci, Pier Giorgio w czarnym ubranku, nareszcie krótko ostrzyżony, zauważył, że wszyscy zwracają się w tych sprawach do ciotki i nie mogą ścierpieć takiej „niesprawiedliwości”, wybuchnął płaczem: „Nikt nie pyta o ciebie, mamó, nikt z tobą nie rozmawia”. Dużo czasu i cierpliwości było trzeba, by mu wytłumaczyć, że to nie obraza, raczej przywilej, który ona, nieznosząca rachunków, w pełni docenia. Był to jeden z bardzo wielu przypadków, kiedy wyruszał jak rycerz krzyżowy przeciwko tym, którzy, jego zdaniem, nie okazywali mamie należytego szacunku.